



Trzej mężowie

Kalif Bagdadu słynął szeroko w świecie za mądrości i sprawiedliwości. Trzej uczeni mężowie postanowili udać się do Bagdadu i przekonać o tem naocznie.

Po drodze jeden z nich zauważył:

— Towarzysze, tą drogą stąpał wielbłąd ślepy na jedno oko i bez przednich zębów.

— Tak, to prawda. Z jednej strony garbu wisiła pszenica, z drugiej — miód — dodał drugi.

— Na wielbłądzie jechało dziecko — dodał trzeci.

Po pewnym czasie podróżnicy spotrzegli biegnącego za nimi człowieka. Dogoniwszy ich, zapytał, czy nie widzieli po drodze zbłąkanego wielbłąda.

— Ślepego na jedno oko i bez przednich zębów? — zapytał pierwszy.

— Tak.

— Obladowanego z jednego boku pszenicą, z drugiego miodem? — zapytał drugi.

— Tak.

— Na którym jechało dziecko? — zapytał trzeci.

— Tak.

Człowiek zaczął ich błagać, aby powiedzieli mu, którą drogą szedł wielbłąd.

Ale wszyscy trzej jednogłośnie odpowiedzieli, że wielbłąda nie widzieli. Jednak człowiek nie uwierzył im, wziął ich

za złodziei i zwrócił się do kalifa ze skargą na nich.

Mówił kalifowi:

— Ludzie ci dokładnie opisali mego wielbłąda i wiedzą, jaki niósł ładunek, ale jednocześnie twierdzą, że wcale go nie widzieli.

— Skąd wiecie o wszystkim tak dokładnie, jeżeli nie widzieliście wielbłąda? — zapytał ich kalif.

— To, że wielbłąd był ślepy na jedno oko i nie miał przednich zębów, poznałem, gdyż rwał trawę tylko z jednej strony drogi i to same wierzchołki, nie tknąwszy nawet środka — odpowiedział pierwszy.

— Że z jednej strony garbu wisiła pszenica, z drugiej miód poznałem po tem, że po jednej stronie drogi skakały ptaki, po drugiej siedziały muchy — odpowiedział drugi.

— Poznałem, że na wielbłądzie jechało dziecko, gdyż w miejscu, gdzie zsiadało z wielbłąda, widoczne były ślady nóg. Takie małe stopy ma tylko dziecko — odpowiedział trzeci.

Kalifa w podziw wprawiła mądrość tych ludzi i kazał na wieczór zaprosić ich do pałacu na ucztę i szczerze ich nagrodził. Właściciel wielbłąda wrócił do domu smutnie opuściwszy głowę.



Spotkawszy Józia Härpera, Beina Rogersa i kilku innych chłopców, ukrytych w zapuszczonym sadzie, popłynęliśmy z nimi łódką ku wąwozowi, odległemu o jakie półtrzeciej mili. Tu w krzakach Tomek, odebrawszy od nas przysięgę, że dochowamy tajemnicę, pokazał nam rozpadlinę, wiodącą w głąb wzgórza, a ukrytą w zarosłach najgęstszych; zapaliwszy świece, wczoiłaliśmy się do wnętrza na czworakach do obszernej jaskini, Tomek zaś, będący na przędzie, wrócił pod ścianę i znikł niebawem w otworze tak ukrytym, że niktby go się nie domyślił. Poszliśmy wszyscy jego śladem a po przejściu przez wąziutki korytarzyk, znaleźliśmy się niby w małym pokoiku, wilgotnym i zimnym. Tomek powiada:

— No! Teraz utworzymy bandę rozbójników i nazwiemy ją bandą Tomka Sawyerera. Każdy, kto chce do niej należeć, niech złoży przysięgę i krwią podpisze swoje nazwisko.

Zgoda była ogólna i ochocza.

Tomek wy dostał więc arkusz papieru, na którym poprzednio napisał był przysięgę, i przeczytał ją głośno. Każdy z chcących należeć do bandy, zobowiązywał się, że świącie dochowa wszystkich tajemnic.

Gdyby który z członków bandy zdradził jej tajemnicę, czekała go za to kara ścienia, poczem trup jego miał być spalony, popioły na wiatr rzucone, imię jego krwią wykreślone ze spisu członków. Pozostałym wzbraniało się wymawiać imię zdrajcy, które miało być uroczyscie przekłętą, a potem na wieki zapomniane.

Wszyscy uznali jednomyślnie, że rota przysięgi jest przesłiczna i każdy zapytywał Tomka, czy ją sam ułożył. Tomek odpowiadał każdemu, że trochę sam, a resztę wziął z książek o rozbójnikach morskich i opryszkach.

Poczem każdy, ukłuswszy się szpilką w palec, wycisnął kropelkę krwi i podpisał nią swoje nazwisko, kto zaś pisać nie umiał ten znak swój własnoręcznie położył na papierze.

— A teraz — zaczął Benio Rogers — naradzić się trzeba, jaka będzie działalność stowarzyszenia.

— Żadna inna prócz grabieży i morderstw — odparł Tomek.

— Ale kogo i co grabić mamy? Domy, bydło lub..

— Pleciesz! Kto zabiera bydło i tym podobne rzeczy, nie rozbójnikiem jest, lecz złodziejem — odpowiada Tomek.

— My nie złodzieje, jeno rozbójnicy. W maskach na twarzy, zatrzymując na gościncach wozy z towarami, będziemy zabijali podróżnych, z wyjątkiem, ma się ro-

zumieć, tych podróżnych, których się tu przyprowadzi do jaskini i trzymać będzie, dopóki nie złożą okupu.

— Okupu? Co to znaczy?

— Nie wiem dobrze... „Wziąć okup“ tak stoi w książkach, naturalnie więc tak czynić trzeba.

— Ale jakże możemy tak czynić, skoro nie wiemy dobrze, co to jest?

— E, nie nudź! Musimy i koniec. Nie słyszysz, tak w książkach stoi!

— Więc chcesz być rozbójnikiem byle jakim i robić nie to, co potrzeba, lecz to, co ci przyjdzie do głowy?

— Dobrze ci mówić, Tomku, ale jabym tylko chciał wiedzieć, co będzie, jeżeli i nasi jeńcy nie będą rozumieli, co to jest „okup“? Jak ty myślisz, co to znaczy?

— Nie... nie wiem... Może oni będą wiedzieli..

— A jeżeli nie będą, to co?

— Ha, to trzeba ich będzie trzymać w niewoli, dopóki nie pomrą.

— A, tak to rozumiem. Tak, to dobrze. Czemużes odrazu tak nie mówił? Myślę tylko, że będzie z nimi dużo kłopotu, bo to im trzeba jeść dawać i pilnować, żeby nie puciekali.

— Co też ty pleciesz, Beniu? Jakto mogą puciekać z pod straży, gotowej do zabicia ich, gdy palcem ruszą?

— Straż? A to mi się podoba! Więc musimy pilnować ich dnie i noce?

— Głupstwo! Dlaczego nie mamy zabić ich odrazu zamiast czekać, aż wezmą „okup“ i umrą?

— Dlatego, że tak stoi w książkach. Powiedz mi raz, Beniu, czy chcesz być prawdziwym rozbójnikiem, czy nie? Albo myślisz może, że ci, co pisali książki, nie wiedzieli, jakim rozbójnik być powinien? Czy chcesz ich uczyć rozumu i myślisz, żeś ty od nich mędrszy? Nie... Prawda? A więc kiedy nie, to siedź cicho i postępuj według prawideł.

— Dobrze już, dobrze. Nie upieram się, tylko chciałem zrozumieć. A kobiety? Czy także mamy zabijać?

— Słuchaj, Beniu, gdybyśmy tak niczego

rozbójników

nie rozumiał, jak ty, to jużbym przynajmniej cicho siedział. Zabijać kobiety? W jakiejże książce powiedziano, że można zabijać kobiety? Nie! Przeprowadziwszy je do jaskini, będziesz dla nich słodki jak cukierek.

— No, kiedy tak, to tak. Tylko, widzisz, niezadługo tyle się w jaskini nazbiera kobiet i jeńców, czekających na okup, że zabraknie miejsca dla rozbójników. No, ale niech i tak będzie!

Maly Tomuś Barnes rozespał się i zaczął krzyczeć, że on chce iść do domu, do swej mamusi, a nie myśli już wcale być rozbójnikiem.

Inni, śmiejąc się z niego, przezywali go beksą. Tomuś więc rozłoszczony zagroził wydaniem wszystkich tajemnic. Tomek Sawyer dał mu wtedy pięć centów, żeby milczał, nam zaś polecił rozejść się i wyznaczył schadzki za tydzień.

Benio Rogers oświadczył, że będąc wolnym tylko w niedziele, w inne dni na rozbój chodzić nie może.

Ale wszyscy chłopcy oparli się temu utrzymując, że grzech rozbijać w niedziele jako w dzień Pański.

Poczem obrawszy Tomka Sawyera dowódca, a Józia Harpera jego namiestnikiem, rozeszliśmy się do domów.

Wróciłem przez okno do pokoju przed samym świtem. Moje nowe ubranie potłuszczone było i całe gliną zawałane, a ja okropnie zmęczony.

*

Bawiliśmy się czasami w rozbójników, z miesiąc może, a potem daliśmy pokój. Nikogośmy nie ograbili ani zabili, tylko tak udawaliśmy że napadamy. Czyniąc zasadzki w lesie, uderzaliśmy na ludzi, pędzących wieprze do miasta, na kobiety, wiozące na targ jarzyny, niewolników jednak nie braliśmy. Tomek Sawyer nazywał wieprze „jeńcami”, a jarzyny „łupem”.

Pewnego dnia Tomek wyprawił jednego z naszych chłopców do miasta i kazał mu biegać po ulicach z zapalonym patykiem, t. j. z „żagwią mordu” na znak, że

banda powinna się zebrać czem prędzej. Po zebraniu się powiedział nam, że przez szpiegów swoich ważne otrzymał wiadomości. Nazajutrz stanąć miała obozem w jednej z dolin górskich karawana kupców hiszpańskich i Arabów bogatych, wiodąca z sobą dwieście słoni, sześćset wielbłądów i przeszło tysiąc mulów, objuczonych samymi brylantami; cała zaś straż karawany składała się z czterystu zaledwie żołnierzy.

Ołóż, uczyniwszy zasadzkę, mieliśmy niespodzianie uderzyć na karawanę, rozbicić ją i zabrać skarby. Kazał nam broń wyczyścić, opatrzyć i stać w wojennym pogotowiu. Nawet przy pogoniach za wózkiem z rzepą musieliśmy zawsze mieć broń wyczyszczoną, choć składała się ona tylko z kijów od miotel i blaszanych szaberek, które trzeć można było i szorować do siódmego potu, blacha zaś zawsze była blachą, tak jak kij kijem. Nie wierząc, że byśmy mogli pobić taką moc Hiszpanów i Arabów, z ciekawości jedynie ujrzania wielbłądów i słoni stawiłem się nazajutrz, w sobotę o wyznaczonej godzinie.

Z gęstych zarośli na komendę wodza zbiegliśmy pędem w dolinę. Nie było tam jednak Hiszpanów ani Arabów, nie było wielbłądów ani słoni, ale zato spotkaliśmy dzieciaków z niedzielnej szkółki na majówce.

Napadliśmy na nich i rozpędzili, jedyną wszakże naszą zdobyczą były pierniczki i marmolada. Benio Rogers znalazł wprawdzie zwiniętą z gałganów lalkę, a Józio Harper książeczkę do nabożeństwa, lecz nauczyciel, smusiwszy nas do oddania łupu, rozpędził bandę. Brylantów nie widziałem wcale i powiedziałem to Tomkowi, on jednak upierał się, że były ich tam całe fury; byli też i Arabowie, słonie i wszystko, co być miało. Na pytanie moje, dlaczego ja nie widziałem, nazywał mnie nieukiem dodając, że gdybym znał „Don Kichota”, pytałbym nie potrzebował. Stało się to wszystko za sprawą czarów. Nieprzyjaźni nam czarnoksiężnicy przemienili wszystko w dzieciaków z niedzielnej szkółki, w pierniczki i galarety...

Mark Twain

Twain: wym. Twein; Rogers: wym. Roudzers; — Sawyer: wym. Souyer; — rota: brzmienie, tekst np. przysięgi; — cent: drobna moneta amerykańska; — namiestnik: zastępca; — marmolada: owoce, rozgotowane z cukrem i zgeszczone; — Don Kichot: główna postać z powieści pod tym tytułem, napisanej przez hiszpańskiego autora Cervantesa Saavedrę, żyjącego w drugiej połowie XVI i z początkiem XVII w.



Prezydent Państwa Dr. K. Ulmanis oraz minister A. Berzińsz w otoczeniu dzieci na Świecie Pracy.

Śmierć w pustyni

Uschniętej palmy liść
nad własnym usnął cieniem...
Tak ciężko, ciężko iść
przez piasek i kamienie..
W upale umarł wiatr
wciąż duszniej jest, wciąż ciszej.
W gorąco chory świat
ostatniem tchnieniem dyszy .
Wczoraj mi wielbłąd padł
po setkach mil w pustyniach —
dzisiaj śmierć stąpa w ślad
hardzego Beduina.
Próżno ostatkiem sił
do życia się wyrwać...
Głowa upada w pył...
O, Allah, już przybywam,!



ieća Pracy

Na grzyby!

Idzie Zochna ,idzie po cienistym lesie
i za starszą siostrą duży koszyk niesie. Ten
koszyk jest pusty, ale pełen będzie, bo je-
sienią przecież dużo grzybów wszędzie:

Kurki żółte, niby kwiatki
i maślaczek lśniący, gładki,
koźlak na wysokiej nodze
i borowik dumny srodze.

Rosną grzybki w lesie. Dziewczynka
ich szuka. Ale to szukanie, to niełatwa
sztuka... Chowają się dobrze we mchu,
pod listkami.

Patrzy Zosia, patrzy modremi oczkami
na prawo, na lewo, no — na wszystkie
strony i... tylko się znalazł muchomor
czerwony...

— Śliczny muchomorku, masz cza-
pckę w grochy, lecz się nie dostaniesz
do koszyka Zochy, bo Zosieńka szuka
króla - borowiczka.

Ej, grzybku! Gdzie jesteś? Chodź-
że do koszyczka!...



Prezydent Dr. K. Ulmanis w specjalnej
czapce, ofiarowanej Mu podczas święta
Pracy przez młodzież. Na lewo minister
A. Berziusz.



Strzelcy - tucznicy szkoccy defilują
ulicą miasta. Malownicze ich stroje oraz
dziarskie tempo marsza wywołuje praw-
dziwy zachwyt u dzieci, które dzielnie
dotrzymują im towarzysztwa

Nasze wierszyki

Różnobarwny ogród

W zimie ogród
nasz mały
jest gładziutki
i biały.

Ziemia w śnieżnej
śpi odzieży.
Ciemne drzewa
stoją rzędem,
jak litery
na papierze
przepisane
atramentem.

Jeszcze kwiaty
nie rosną,
a już wiosną
drzewa, kwieciami
osypane
na tle ziemi
szarolicej,
są, jak cyfry
wypisane
białą kredą
na tablicy.

Gdy się ogród
w jesieni
jabłuszkami
czerwieni,
jest podobny
do koralu
na zielonej
bluzce Hali.

Czyś jest czarny
czy też biały,
w szacie kraśnej
czy zielonej,
zawsze nam,
ogródku mały,
bądź błogosławiony!

Lis i kozieł

Już był w ogródku, już witał się z gąską,
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę
wkopaną,

Gdzie wodę zbierano;
Ani pomyśleć o wyskoczeniu!
Chociaż wody nie było i nawet nie
grząsko:

Studnia na półczwarta łokcia —
za wysokie progi
Na lisie nogi;
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibił
paznokcia.

Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrappy,
Wolając gromu, ażeby go dobił;
Nasz lis takich głupstw nie robił;
Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać
do zła.

Zaczem maca wkoło zębem,
A patrzy wgórę. Jakoż wkrótce ujrzał
kozła,

Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysek na dno udając, że
pije;

Cmoka mocno, głośno chłepce
I tak sam do siebie szeptem:
„Oto mi woda! Takiej nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu spłókać,
Ale mi ją szkoda zbrukać,
Szkoda!

Bo co też to za woda!” —
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody
szukać:

„Ej! — krzyknął z góry. — Ej ty, ryży
kudła,

Wara od źródła!”
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na
rogi,

A z rogów na zrąb i — w nogi.

Lala

Jestem lala z porcelany,
mieszkam w sklepie na wystawie;
jeśli kupisz mnie, dziewczynko,
to potrafię cię zabawić.
Bo zamykam jasne oczki,
mówię pięknie „tata”, „mama”
i wyglądam w nowej sukni
jak prawdziwa wielka dama.

Proszę zgadnąć

LAMIGŁÓWKA

Niema beze mnie wiosną
bukietu, ani wieńca.

ZAGADKA

Kroję ziemię
krzywym nożem,
jak pokroję,
będzie zboża

LAMIGŁÓWKA

Trzysta sześćdziesiąt pięć listków mają,
które, aż dziwno, cały rok spadają.

Po kątach na zdobycz czatuje,
bez strzelby, bez luku poluje.
Szeroko rozpina swe sieci,
zjada łup, który w nie wleci.

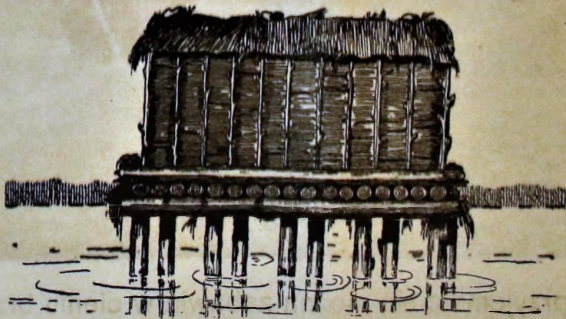
ZAGADKA

Mrozu się nie boi.
Gdy słońce przygrzeje,
rozplacze się, schudnie,
aż kiedyś, w południe –
stopnieje.

ZAGADKA

Z płótna zrobiony –
ma żebra stalowe;
kiedy deszcz pada,
to ochrania głowę.

14



Skąd to znamy?



...przyjemnie się można zabawić w cieniu brzoź

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze życie”, Riga — Dzirnau 52. „Krasnoludki”
Drukarnia „BUTU”, Riga, Dzirnau ielā Nr. 57.